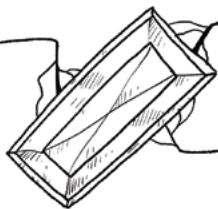


Beata Ostrowicka

# NIEZWYKŁE WAKACJE



*mojemu mężowi Michałowi*



# Rozdział 1



**N**iebo zasnuło się obłokami o poszarpanych brzegach, a między nimi pobłyskiwały nagle jeszcze gwiazdy. Mrok gęstniał, tak że z trudem można było rozróżnić liście drzew, którymi cichutko szeleścił wiatr. Puszcza tętniła wieczornym życiem. Gdzieś wyły wilki, łopotały skrzydła nocnych ptaków, w kępach sitowia kumkały żaby, szumiała rzeka.

Po chwili dały się słyszeć przyciszone rozmowy, stukot końskich kopyt, trzeszczenie drewnianych kół na nierównej leśnej drodze. Orszak, który przemierzał las, był niewielki, zaledwie pięć mocno obciążonych wozów i paru konnych. Nagle zahukała sowa.

– Zły to znak – mruknął jadący na przedzie stary rycerz i przeżegnał się.

Tabor posuwał się niespiesznie. Zdawało się, że mgła, która przykrywała puszcze, pęta również nogi koniom, już i tak wystarczająco zmęczonym. Drzewa zaczęły się przeredzać.

– Jest polana! – krzyknął radośnie młodszy szlachcic. – Tu staniesz, konie już bardzo zdrożone. – I odwróciwszy się na siodle, krzyknął w stronę nadciągających wozów: – Tu będziem nocować! Sławko, i ty tam! Rozkulbaczyć\* konie! Mirek i Rostek niech szykują wieczerzę! A wartko!

\*Rozkulbaczyć – zdjąć kulbakę, czyli siodło wojskowe.

Beata Ostrowicka  
**Niezwykłe wakacje**

Z serii: Zagadka starego dworu

© by Beata Ostrowicka  
© by Wydawnictwo Literatura

Okładka: Bartek Brosz  
Korekta: Lidia Kowalczyk, Joanna Pijewska

Wydanie IX poprawione, Łódź 2023  
ISBN 978-83-8208-184-8

Wydawnictwo Literatura



91-334 Łódź, ul. Srebrna 41  
handlowy@wydawnictwoliteratura.pl  
tel. (42) 630-23-81  
www.wydawnictwoliteratura.pl

Polana ożyła. Na środku zapłonęło ognisko, konie parskają nad worami z owsem, zapachniało pieczonym mięsem. Wystawiono warty. Pachołkowie, dotąd zbici w gromadkę, powyciągali się z ulgą przy ognisku i rozmawiali przyciszonymi głosami. Rycerze z kubkami piwa siedzieli opodal na skórach.

– Da Bóg, stryju, niezadługo będziem w Krzesławcu – odezwał się młody.

– Jutro – potwierdził starszy i przytknął kubek do ust.

– Ino nie wszyscy – westchnął po chwili młodszy.

– Prawda, zostali Zbigniew, Stanisław, Jaško.

– Mściwój. A ilu dobrych parobków przepadło.

– Nie gadaj, Bartosz, takich rzeczy. Toć wiadomo, wojna – starszy wzruszył ramionami. – Męska to rzecz wojna i męska rzecz na niej ginąć – dodał dobitnie.

– Dobrze wam tak, stryju, prawić, bo nie was te pogany ubiły – prychnął Bartosz.

– Wojna to wojna – powtórzył twardo jego towarzysz. – Ej, dorzućta do ognia! – krzyknął w stronę pachołków, a do bratanka rzekł: – Smutno wracać doma, gdy inni tam zostali, ale nie żal umierać na takiej wojnie. – Ożywił się niespodziewanie: – Toć ta wiktoryja ponoć i Wiedeń uratowała, pogaństwo ukróciła, a narodowi naszemu chwałę zjednała wieczystą.

– Pewnikiem tak jest, jak rzekliście, stryju – odezwał się już raźniej młody.

– Teraz wrócisz do żonki Barbary, a jak Bóg da – i do syna.

– Oby tak było! – Zmęczoną twarz mówiącego rozjaśnił uśmiech.

– Będzie! Żonce piękne podarki wieziesz. Wawrzek! Podaj z tego wozu, co to nim Szymon jeździ, rzeźbiony sepecik\* pana Bartosza.

\* Sepecik – mała skrzynia.

– Ten rzeźbiony? – powtórzył wielki chłopak, ospale podnosząc się z ziemi.

– Ten, gamoniu, przecie mówiłem! – odkrzyknął rycerz i dodał ciszej: – Tylu parobków na schwał ubito, a ten gamoń się ostał. Wielu zacnych rzeczy wieziem – mówił, podczas gdy z wozu słychać było posapywanie Wawrzka i przesuwanie jakichś ciężkich przedmiotów – ale i wybierać było w czym. Toż ten obóz Turków pode samym Wiedniem pełen złota, koni i onych dziwnych zwierząt.

– Wielbłądów – podsunął Bartosz.

– A te śliczne namioty – zachwycał się stary – bogate, piękne i zbyt kowne.

– Powiadali nasi, jakoby Turcy mieli w onych namiotach wanny i łaźnie – wysapał Wawrzek, stając w świetle ogniska. – Tu postawić, panie? – spytał i dla wygody oparł skrzynię na brzuchu.

– A tyżeś, gamoniu, myślał, że będziem tym palić? No, idź już, idź! – powiedział z widocznym zniecierpliwieniem stary szlachcic, bo chłopak nadal stał przy nich i z bezmyślnym wyrazem twarzy zawzięcie drapał się po skołtunionej głowie.

Wawrzek wrócił na swoje miejsce, a rycerze przysunęli się bliżej ognia.

– Pięć wozów pełnych srebrnych naczyń, szkatuły pieniędzy, sukno srebrem i złotem szyte. A co tylko tkniesz, to wszystko specyjał. A owe klejnoty, a rzędy dłonią pierwszych mistrzów dekorowane, a te pełne zbroje albo ten pancerz złocisty nabijany drogimi kamieniami – wyliczał rozmarzonym głosem. – Dużo bogactwa wieziem. Można będzie dokupić ziemi.

Bartosz z uwagą słuchał słów stryja, przytakując od czasu do czasu. Przytknął i misternie rzeźbionym kluczykiem,

który wydobył z małej sakiewki przytroczonej do pasa, otworzył skrzynię przyniesioną przez Wawrzka.

– Piękne to rzeczy – westchnął. – Słuszny gościniec dla żony mojej. Część z nich i dla siostry jest. A to dla syna – Bartosz podał staremu jakiś przedmiot zawinięty w kawałek jedwabiu.

Szlachcic rozwinął zawiniątko i w blasku ogniska coś zabłyszczowało.

– Andżar\* – powiedział ze zdumieniem. – Toż to twój syn mniejszy od niego.

– Podrośnie – uśmiechnął się Bartosz. – Naonczas mu się nada. – Przeciągnął palcami po rękojęści ozdobionej wielkim niebieskim kamieniem.

– Wiesz, co ja bym chciał? Obrzydła mi już ta żołnierska strawa. Jak wrócę doma, zjem żuru.

– Oj, panie! – krzyknął Wawrzek, który siedział opodal i przysłuchiwał się rozmowie rycerzy. – Toć to prawda. Ja już nie mogę na to szkaradne mięsiwo patrzeć. Sporą michę zacierek na mleku bym zjadł.

Stary rycerz gruchnął śmiechem na te słowa.

– I zjesz. Jutro. A ty, Mirko, pojedziesz wcześniej doma i rzekniesz pani, iż już jedziem – polecił Bartosz. – I niech szykują ucztę.

\* \* \*

Do ciemnej ściany lasu przytulił się dwór otoczony podwójnym częstokołem z ociosanych dębowych pali. Ostrokół u dołu wzmocniono wałem ziemi. Okna dworu miały kraty, a drzwi wejściowe były z grubych dębowych desek.

\* Andżar – handżar albo andżar (tur.) – rodzaj obosiecznego sztyletu z długą rękojęścią, zakrzywionego na końcu.

Cały dwór z obejściem wydawał się solidny i bezpieczny. Wrażenie to potęgowała dodatkowo baszta wysoka na osiem sążni\* ze strzelnicą o sześciu oknach na szczycie. Z okna strzelnicy machał radośnie Mirko.

Mocna brama, strzegąca podwórza, pilnowana przez wrotnych, otwarta była na oścież. Mirko pospieszył z wiadomością i teraz już wszyscy oczekiwali przybywających.

Zanim rycerze zdążyli wjechać na podwórze, od grupki osób stojących przy dworze oderwała się smukła postać i przyciskając do piersi białe zawiniątko, zaczęła biec w ich kierunku. Bartosz ciężko zeskoczył z konia i już po chwili tulił w ramionach płaczącą żonę i nowo narodzonego synka.

Objęci podeszli do stojącego na ganku starego, siwego mężczyzny wspartego na grubej lasce i ramieniu puciołowatego pachołka.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! – powiedział głośno i wyraźnie Bartosz, a następnie ucałował starca w rękę.

– Na wieki, na wieki – odparł trzęsącym się głosem. – To Stanko?

– Nie, jam syn jego, Bartosz.

– A Stanko gdzie?

– Ociec nie żyją od czterech років! – huknął Bartosz.

– Stanko, Stanko, witaj doma... – mówił niewyraźnie starzec – a doma, to...

– Dziadzio już mocno wiekowy – szepnęła cichutko stojąca obok dziewczyna z grubym czarnym warkoczem zwieszającym się aż do kolan. – Coraz z nim gorzej – westchnęła.

– Marynia! Siostro miła! – krzyknął radośnie młody rycerz. – Toż my się musim przywitać.

\* Sążeń – dawna jednostka długości. W Polsce sążeń zmieniał się na przestrzeni wieków, oscylując w granicach dwóch metrów.

– Pierwej ja! – zagrzemiał stryj. – Dyc to moja ukochana córa krzestna.

Wesoło rozmawiając, zniknęli za drzwiami i przez sień zdobną w broń i sieci myśliwskie przeszli do obszernej komnaty. Wielkie okno uczynione z małych kawałków zielonego szkła wpuszczało przytłumione światło, a mурowany piec w rogu dawał przyjemne ciepło.

Ściany, od malowanego pułapu do podłogi z prostych desek, przystrojone były makatami, kobiercami i kilimami. Przy nich stały ławy zarzucone skórami, a opodal rozmaite skrzynie i kufry. Mosiężny świecznik zwiisał z powały.

Wnętrze było przytulne, sprawiało wrażenie dostatku, a nawet zbytku. A stoły, które zajmowały honorowe miejsce w komnacie, dosłownie ugiwały się pod ciężarem potraw.

– Ha! – zakrzyknął stryj. – Toć to prawdziwa uczta – dodał, przyglądając się stołom.

– Trzeba godnie przywitać – zaszemrała Marynia i uśmiechnęła się nieśmiało.

– I kapłony\*, i schab, i kiełbasy – wyliczał stary szlachcic, siadając na ławie – a wszystko to pieprzne i korzenne. Nie dla mnie takowe frykasy – rzekł naraz przytomnie starzec. – Zębów ni mom, jeno mogę wachać i patrzeć – westchnął.

– Nie gadajcie po próżnicy, jeno rzeknijcie, jak wam tam było – odezwała się prosząco Barbara i usiadła przy mężu, kołyszając w ramionach synka.

– A wiedzieć bym chciała... – szepnęła naraz Marynia i umilkła spłoszona.

– Co zaś?

– Czy wszyscy wrócili? Czy wszyscy nasi somsiedzi?

\* Kapłon – kastrowany kogut kury domowej.

– Nie. – Bartosz smutno zwiesił głowę. – Pode Wiedniem został Dudziński.

– Andrzej! – krzyknęła Marynia, przyciskając kurczowo dłoń do piersi, i zdawało się, że zaraz zemdleje.

– Nie. Brat jego, Stanisław.

– Chwała Najwyższemu – szepnęła cichutko Marynia.

– Żałość to straszna – powiedziała półgłosem Barbara. – Dyc ta ich dziewczuszka, ta Helenka, tera sierotą ostała. Wpierw matka ją odumarła, a tera oćca ubili.

W izbie zaległa cisza. Wszyscy myśleli o tych, którzy nie wrócili do swoich bliskich, o mogliach pozostałych na obcej ziemi.

– Toć my się radujmy – pierwszy ciszę przerwał stryj. – My są, panu Bogu dziękować, doma. I Andrzej Dudziński – szepnął w stronę Maryni, której policzki pokryły rumieńce.

Długo trwała uczta. Trzeba było opowiedzieć sobie, co działo się przez te długie dni, pełne niepewności i troski o najbliższych, podziwiać synka, który cały czas spał spokojnie w ramionach matki, i wybrać dla niego imię.

– Może Kacper? – zaproponowała nieśmiało Marynia. – Jako nasz pradziad, co takowe imię nosił.

– Niech będzie i Kacper! – rozjaśnił się Bartosz i popatrzył pytająco na żonę, która przytaknęła z uśmiechem.

– Rzeknijcie cosik, stryju, o tym waszym wojowaniu – odezwała się w pewnej chwili Barbara. – Toć z was miły gawędziarz.

Stary szlachcic wypił z widoczną przyjemnością kubek miodu, otarł płowe wąsy i zaczął mówić.

Dawno już ciemno zrobiło się za oknami, a stryj nadal opowiadał. Bartosz od czasu do czasu dodawał coś od siebie, częściej jednak tylko kiwał głową i przyglądał się żonie.

– A opowiedzcie, stryju, tera o tym somsiedzie – szepnęła Marynia.

– O tym? O tym, co to wiem od swego oóca?

– Tak.

Stryj znowu sięgnął po kubek miodu, oparł się wygodnie o ścianę i zaczął opowiadać:

– Ociec miał somsiada, chudzinę, ale o górnej fantazyi, a ów somsiad, szlachcic, starał się, coby wszyscy myśleli, że on jest bogaty. I tak, gdy jechał do kogoś z wizytą, to kazał do kolebki, co mu jeszcze po oócu się ostała, zaprzęgać konia. A była to szkapina mizerna. No i ową kolebkę niedaleko dworu zatrzymywał, gdzie się w gości wybierał, konia wyprzęgał, pachółka na nim sadzał, któren miał zapowiedzieć, że jego pan w gościnę tu zdąża. – Stryj łyknął znowu miodu. – Co to ja rzekłem na ostatku?

– O pachółku – przypomniał, śmiejąc się, Bartosz.

– Gdy pachółek wracał z owej misyi, konia do kolebki zaprzęgano i jegomość somsiad na podwórze zajeżdżał. A razu pewnego do mego oóca pachółek zajeżdża i swego pana anonsuje, właśnie owego szlachcica chudzinę. Ociec był człek dowcipu bystrego i figlarz. Skądś znał ów sekret. Tak pachółka winem częstował, że go do nieprzytomności spoił. Podczas gdy kuryjer somsiada winko w ciepłej izbie pił, jego pan w polu zły i głodny daremnie go czekał. Wieczorem zawstydzony, pieszo, swoją szabelką się podpierając, pojawił się w domu oóca mego – zakończył, wybuchając śmiechem.

– Z tego wszystkiego to my o podarkach zabaczyli! – wykrzyknął Bartosz. – Wawrzek!

– Oni tam nie słyszą, bo gwarno u nich a huczno! – odezwał się stryj.

– Pewnikiem, toż tam mają ucztę niezgorszą – przytaknęła Bartosz. Wstał, podszedł do drzwi i przez sień krzyknął w stronę części czeladnej: – Wawrzek! A migiem tu!

Drzwi otwarły się i wbiegł chłopak.

– A co, panie?

– Przynies tu ten sepecik rzeźbiony, com go wczoraj oglądał na polanie. Czekał. A gdzie rzeczy z wozów?

– Złożyłim je na piéterku, tak jak pan Zbigniew kazali.

– Prawda, bieżaj po ten sepecik.

– O, cóż to za cuda! – klasnęła w ręce Barbara, gdy Bartosz podniósł wieko.

Nawet policzki bladej Maryni zaróżowiły się na ten widok. Kobiety usiadły na ławie przy skrzyni i podziwiałały klejnoty.

– Jakiż cudny pas! – zakrzyknęła Barbara i oczy rozszerzyły się jej ze zdumienia.

– A manele, zausznice\*? – nie mogła się nadziwić Marynia i po krótkim wahaniu przypięła sobie wielką srebrną broszę do ciemnej sukni. – Toż to dobro nieprzebrane. I wszystko dla ciebie – szepnęła, odpinając ozdobę.

– O nie – włączył się Bartosz. – Cały ten sepecik to nasz gościniec dla obu niewiast.

– Jedna rzecz chyba tu nie dla nas – powiedziała zdumiona Barbara i pokazała nóż, który wydobyła z kuferka.

– Nie – zaśmiał się Bartosz. – To dla syna.

– Dla Kacpra. Toż z niego już niedługo będzie chłopak na schwał! – zawołał stryj i uniósł kielich. – Zdrowie Kacpra i nasze, że my są znowu doma!

---

\* Manele – bransoleta; zausznica – ozdoba noszona na uchu.